

1. LS * To się nie łamie!

Autor: Jacek Józwiak

Wstęp - co może leżeć u podstaw wyboru lekkiego spinningu? Jakie wrażenia zapewnia ta technika spinningowania? Czy to się nie złamie, czy da się na to złowić dużą rybę?

Jeszcze kilka lat temu nikt nie był mnie w stanie przekonać, że dużego drapieźnika można doprowadzić do podbieraka za pomocą wędziska przypominającego akcją wierzbową witkę. Kij spinningowy powinien - tak wówczas uważałem - mieć sztywną, szczytową akcję, nie mieć więcej niż 2,40 m długości. Powinien umożliwiać wysłanie na wodę każdej przynęty - i meppsowskiej "zerówki", i algi z czteromilimetrowej stalowej blachy.

Doceniałem, rzecz jasna, technologiczne nowinki, najdoskonalsze tworzywa, ich wytrzymałość, lekkość, niezawodność - ale kij powinien być tęgim, pewnym narzędziem.

Z lekkim rozbawieniem przyglądałem się facetom w nienagannie skrojonych kamizelkach, w zielonych spodniach zaprasowanych w kant i w baseballowych czapczkach sygnowanych firmowymi naszywkami. Drwiącym uśmiechem kwitowałem trzymetrowe jigówki, których końca nie sposób było dostrzec z odległości 20 metrów - im bardziej oddalałem się od takich dziwaków, tym krótsze wydawały się ich wędziska. W tle roztapiała się najpierw szczytówka, później połowa górnego składu, a po pięćdziesięciu metrach odnosiło się wrażenie, że wędkarz macha króciutkim kikutem. Jak gdyby nie na ryby tu przyszedł, a na pantomimiczne popisy.

Nawet jeśli któremuś udało się wyholować medalową rybę, to i tak sam siebie i najbliższe otoczenie przekonywałem o wyższości mocnej wędki nad niepoważnym bacikiem. Trwałem w swym przekonaniu przez lata. Na wędkarskim rynku pojawiały się kolejne cuda, do mojego arsenału weszły na stałe gumki, najdrobniejsze woblerki, miniaturowe obrotówki. Do rękoności przytwierdzałem już najbardziej precyzyjne kołowrotki, na szpulach nawinięte miałem cieniutkie żyłeczki, ale nadal wywijałem wędziskami, które dzisiaj leżą zakurzone w szafie w charakterze emerytów i wspomnień sentymentalnych.

Nie dziwi mnie już, i nie oburza, opinia wytrawnych spinningistów, którzy jeszcze nie tak dawno nazywali mnie pałkarzem, zaś mój sprzęt chrzcili zdrobnieniem pewnego imienia żeńskiego...

- O, jest Jacek ze swoją "lola" - witali mnie na łowisku. Nie obrażałem się, bo niby dlaczego? Oni na te swoje zandery, ultra lighty, delusiony wyjmowali ryby i ja za pomocą mojej "loli" ryby wyciągałem. Miałem nawet dodatkową frajdę - byłem inny, oryginalny. I taki w swoim rodzaju.

Spinning był ostatnią metodą, do której dopuściłem nowoczesność. Bo przecież od lat podczas połowów spławikowych korzystałem z matchówek i bolonki, przy gruntówce z drgającej czy kołyszącej się szczytówki, zaś ich lekkość, sprężystość i finezyjność łowienia przynosiła mi masę radości. Ale szczupak, sum, boleń, duży sandacz na kiju, który można zawiązać na supełek - o nie, to się w mojej głowie nie mieściło. Jak większość zmian w moim życiu i ta była nagła, niespodziewana i spowodowana przez przypadek. Ot, siedziałem na narwiańskiej główce z dwoma "pikerami" i od kilku godzin szlag mnie trafiał. Z dna nic nie chciało żreć - ani leszcze, ani jaziki, ani nawet wychudzony krąpek nie dawał się sprowokować najbardziej wyszukaną przynętą. Za to bolenie ochlapywały mnie co kilkanaście minut, bijąc w drobnicę we wstecznym prądzie za główką, tuż pod moimi nogami. W warkoczu u szczytu ostrogi spławiała się klenie, oczkował jaź.

Nie wytrzymałem - w przegródkach mojej wędkarskiej torby poniewiera się zazwyczaj jakieś pudełeczko ze spinningowymi przynętami. Znalazłem zestaw trzycentymetrowych, pływających rapalek. Rozbroiłem jeden z feederów, kołowrotek opatrzyłem szpulą z tectanowską "osiemnastką", mocniej wcisnąłem miękką szczytówkę i posłałem w warkocz fluoryzującą czerwono rybkę. I chociaż dziwnie było machać wiotkim wędziskiem, choć pełny tip kiepsko wyważał kij, to po trzech kwadransach srebrzyły się w sadzu półkilowe klenie i potężny jaź.

Główka była stracona. Chlupot, hałas, agresywne odjazdy - czyli cały ten rybi wrzask - musiały wystraszyć podwodny światek. W poprzek nurtu rzucałem przez upór. Ot, żeby sztuce stało się zadość. Starąłem się sprowadzić wobler głęboko, tak by szedł tuż nad kamieniami. Prowadziłem go bardzo powoli.

Gdybym miał twardy kij, zapewne wyrwałoby mi go z dłoni. Pobicie było potworne, twarde, nagłe. I bardzo głębokie - tuż po zacięciu nastąpił jednostajny, wręcz flegmatyczny odjazd. Niezbyt jednak daleki; po dziesięciu metrach ryba zatrzymała się na chwilę, zmieniła kierunek i zaczęła chodzić na boki. Piętnaście metrów w górę rzeki, skręt i tyleż samo w dół. Atakowała do dna. Przedstawiała mi się - tym feederem wyjąłem z rzek sporo brzan, czasem bardzo dużych. Ale kij zachowywał się inaczej - na zestawie nie było trzydziestogramowego ciężarka, kontakt z rybą miałem bezpośredni, bliski, intymny niemal...

Wyjąłem śliziaka po półgodzinnym holu. Miał ponad trzy kilogramy. Objęła go amnestia. Za to, że pokazał mi prawdę o delikatnym spinningu, że przekonał mnie do roli wędziska o parabolicznej akcji. Pełna amortyzacja najdelikatniejszego kija spinningowego dostarcza niesamowitych wrażeń. Duża ryba na ogół nie odchodzi daleko od wędkarza, hamulec kołowrotka pracuje dużo rzadziej.

Hol może być znacznie spokojniejszy - nawet najgwałtowniejszy atak można skontrolować lekkim podniesieniem szczytówki i przytrzymaniem kija. Amortyzująca funkcja lekkiego wędziska spinningowego daje się porównać do roli gumy przy zawodniczych wyczynówkach. Ryba nie ma prawa zerwać zestawu, wypiąć się, jeśli tylko zacięta zostanie prawidłowo...

Przypadkowe odkrycie znaną z Narwi wywołało zwyczajną kolejność wypadków. Przy pierwszej wypłacie odwiedziłem wędkarską giełdę, kupiłem najdelikatniejszy z możliwych kij i rozpocząłem trwające kilka sezonów eksperymentowanie z lekkim spinningiem.